Tom VII. Nr. 2.

11. Lipca. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## MODLITWA BIEDAKA.

W skwarny dzień letni wyszedł ubogi wyrobnik karczować pnie jodłowe w pobliskim lesie. Niebo czyste i pogodne do koła, więc wszystko stworzenie pełne życia i wesela; a on jeden miał smutek na czole. Stanął na wzgórku przy pniaku, przeżegnał się nabożnie i wziął się do pracy.

Przed nim widok cudowny. Tu w dole wioska jego rodzinna, a w niej ludzie wszyscy jemu mili, z którymi tyle lat razem pracował, razem się cieszył i smucił i razem się modlił w kościółku. Po nad wioską sina wstęga dymu zawisła, ale jej przecie nie zasłania zupełnie, i widać chaty wieśniacze, i kościółek gontami obity, białą plebanję i szkołę, a nawet i karczmę na końcu. I cicho we wsi, nie słychać żadnych głosów, bo wszyscy poszli do pracy. Za to w polu wszędzie gwarno i ludno. Kosarze na łące dzwonią w kosy, pasterze chodzą za bydłem i śpiewanie wesołe rozlega się daleko, a tu nad rzeką chłopcy łapią ryby i słychać śmiechy serdeczne i radość z każdej rybki złapanej. Ale wyrobnik ubogi nic nie

słyszy oprócz stukania swojej siekiery, nic nie widzi tylko pniak przed sobą i pracuje ciągle. W koło niego także przeróżne głosy stworzenia, chwalą Stwórcę weseląc się życiem i swobodą: widać chyże skoki koników polnych i słychać ich wesołe świerkanie w trawie; tu przelatuje motyl złoty, usiada blisko na liściu zielonym i roztacza skrzydła mieniące się do słońca, chcąc rozweselić oczy biednego wyrobnika; za nim szumi gałęziami gęsty las jodłowy, słychać tysiączne głosy ptastwa, a lekki wietrzyk donosi miłą woń żywiczną. Ale wyrobnik jakby zapomniał o świecie, nie spojrzy ani razu na te cuda stworzenia, i pracuje bez ustanku, jakby tą pracą chciał odegnać od siebie ciężki smutek co mu piersi gniecie.

W tem ozwał się ze wsi dzwonek kościelny na południe. Na ten głos zastanowił się wyrobnik w swej ciężkiej pracy, oparł omdlałe dłonie na toporzysku i zaczął odmawiać Anioł Pański. Po tej cichej modlitwie, co jak balsam ukojenia wpływa zawsze w dusze stroskane, zniknął na chwilę smutek z twarzy biedaka. Powiódł okiem do koła po pięknym kraju co się przed nim roztaczał, a patrzał się takiem okiem, jak się patrzy człowiek na to co ma najmilszego na świecie.

— Kraju mój ukochany, zawołał głośno, ziemio moja rodzinna, jakiem-że sercem cię miłować!

A nie miał ten człowiek ubogi nic prócz siekiery swojej, którą zarabiał na życie; nie miał własnej chaty, ani własnego kawałka ziemi i był wyrobnikiem.

I spojrzał znowu na wioskę swoją gdzie się urodził; w stronę cmentarza gdzie jego matka leżała; na chaty wieśniacze, na biały dwór pański i na szkółkę przy nim, a potem na drogę co wiedzie do wielkiego miasta, i rzekł smutnie:

— Wszystko nam dałeś Panie Boże w miłości swojej. Dałeś nam ziemię wielką i bogatą, która nam wszystkim matką prawdziwą i każdy choćby najlichszy z niej żyje; lecz czemuż o Panie nie dałeś dzieciom Twoim miłości! Czemuż zawiści brat ubogi bratu bogatemu lepszego domu, lepszego odzienia i lepszej strawy, i obciąża duszę swoją grzechem łakomstwa. O Boże mój! daj mi wytrwać w ubóstwie mojem i w miłości do wszystkich ludzi, aż do końca życia mego.

Tu ukląkł biedny wyrobnik przy pniaku, złożył ręce nabożnie i modlił się gorąco o szczęście ludzkie i o zesłanie ducha miłości między dzieci jednej ziemi.

W tem na drodze od miasta okazała się wielka procesja. Na przodzie szedł krzyż, potem panny niosły obrazy święte, panowie chorągwie kościelne, a w tyle szedł wielki tłum ludu wiejskiego z dalekich stron, i wszyscy śpiewali pieśń nabożną wielkim głosem: Zmiłuj się nad nami!

— Zmiłuj się nad nami! — zawołał biedny wyrobnik — i wzniósł ręce ku niebu, a usta jego szeptały pacierz dziękczynny, że się już zaczyna miłość ludzka na ziemi.

I usłyszał Stróż Anioł modlitwę biedaka, i wziął ją na srebrne skrzydła i zaniósł przed tron Najwyższego, gdzie wysłuchaną została.

A gdy się wypełniły dni żywota jego, zanieśli Aniołowie duszę biedaka między wybranych Pańskich, a Bóg rzekł do niej:

— Duszo cnotliwa, cierpiałaś wiele na ziemi, a przecież nie powstała w tobie nigdy zawiść dostatków, i strzegłaś pilnie zakonu Syna mego: *Miłuj bliźniego jak siebie samego.* Idźże więc teraz duszo wybrana na ziemię twoją rodzinną między lud ubogi, i bądź mu Aniołem Stróżem, aby nie słuchał podszeptów złego, i miłował starszych braci swoich.

Od tego czasu co noc przepływa Anioł biały po nad chaty wieśniacze i wpaja miłość w serca ludzi, która się coraz bardziej krzewi za dni naszych.

## NASZA ZIEMIA.

Oj niema ziemi jak ziemia nasza!
Bóg nam ją stworzył rajem i niebem;
Przeczucie głodu nas nie zastrasza,
My jeszcze obcych żywimy chlebem.

Już kłosem złotym nasze równiny
Porosły, szemrząc dojrzałym plonem;
W ogródkach sielskich rosną jarzyny,
Rozkosznie, zdrowo, prostym zagonem.

O! Polsko nasza! ty chlebo-rodna,
Toć my od głodu nie będziem zmierać,
Ni w nas postanie ta myśl niegodna:
— Ha, pójdziem obcym chleba wydzierać!

Nad głową naszą sklep nieba modry;
Tam wznosim modły ku gwiazdkom małym,
A Bóg nam daje jako pan szczodry
Pociechę w smutku, pokarm zgłodniałym.

O ziemio nasza! zabrzmij ty chwałą
Jak święci; — świętaś plonami swemi!
W kościołach naszych najświętsze Ciało
W postaci chleba, z rodzinnej ziemi.

Zmierz bracie światy: lądowy, wodny,
Jak Polski naszej nie znajdziesz kraju;
Kiedy ją kochasz, to żyjesz w raju,
Kiedy nią gardzisz — litościś godny.

*L. D. z.*

---

# Wielkie jest miłosierdzie boże.

Nie rok ani dwa temu, bo jeszcze za czasów ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta, żył we wsi Łobzowie pod Krakowem chłopak młody, imieniem Sobek. Ojciec odumarł go wcześnie, a opiekunowie i matka nie wiele na niego uważali i nie napędzali go do uczciwej pracy, radzi że się go z głowy pozbyć mogli. To też Sobek uwijał się cały dzień boży po polach pogwizdując, to znowu po drzewach się spinał za gniazdami ptasiemi; bo ojciec zostawił grunt duży i chałupę nową i sad dorodny przy niej, to żyć było z czego, a matka zwykła mówić:

— Jedyne to dziecko moje, niech sobie za młodu porozkoszuje, na co mu tam jeszcze pracować, póki ja żyję na niczem mu nie zbędzie, jak mnie nie stanie dość będzie czasu wziąść się szczerze do pracy.

Zrazu z nim było pół biedy, była tam bowiem u sąsiada mała dziewczynka Halka, sierota po bracie sąsiada, dobra jak aniołek, a że Sobek bardzo ją lubił i często się z nią bawił, to strzegł się wszystkiego, coby ją ku niemu zrazić mogło. Kiedy zaś pani wsi owej dziewczynkę wzięła na wychowanie do siebie i po niedługim czasie z Łobzowa wyjechała a długo jej widać nie było, zrobił się z Sobka istny hultaj, który nikogo nie minął, by psoty jakiej nie spłatać, ni psa nie nadybał, by za nim kamieniem nie rzucił.

Martwiła się i gryzła stara matka i napominała go teraz, ale słowa jej obijały się o uszy Sobka jak groch o ścianę. Coraz to więcej robił się rozpustny, a kiedy dorósł wziął się do gorzałki i po dniach całych w karczmie przesiadywał, marnując krwawo zapracowane mienie ojcowskie.

Matka wkrótce z żalu umarła, a Sobek objął gospodarstwo na siebie, popłakał trochę i dni kilka nie poszedł do karczmy, lecz za czas jakiś do dawnego powrócił życia. Najął sobie parobka, który zań pracował, a sam pił w karczmie i jeździł po jarmarkach i kiermaszach, bo nie mógł sobie z nudów dać rady, a sąsiedzi ubolewali nad nim i mówili: Mój Boże! ojciec taki uczciwy i pracowity był człowiek, a syn hultaj wszystko przetrwoni i nie poprawi się już nigdy, kiedy go śmierć matki nie poprawiła.

Jednakże Bóg wielki nie opuszcza człowieka nawet w największym upadku. Miłosierdzie jego jest bez granic i przeróżne są sposoby jego, któremi grzesznika do siebie nawraca, i przed śmiercią nie godzi się o nikim mówić, że już zgubiony na wieki.

Razu pewnego w sobotę przed Zielonemi Świątkami zabawił się Sobek przez dzień i noc całą w Krakowie, i świtem dopiero w niedzielę powracał do domu.

Słonko pokazywało się właśnie na niebie, kiedy Sobek dochodził do Łobzowa. Niebo wiosenne było czyste, a ziemia zielona i kwiecista, a na kwiatach błyszczały krople rosy gdyby łzy Stróża Anioła. W gaiku przy drodze odzywał się czasami słowik, a skowronek dzwonił w powietrzu poranną modlitwę do Najświętszej Panny.

Jakoś smutno zrobiło się w duszy Sobkowej na ten widok i na te śpiewy ptasząt. Przypomniał sobie pierwsze lata swoje, kiedy to jeszcze dzieckiem biegał za ojcem i matką po tej zielonej murawie, i załzawiło mu się oko, bo w tej chwili padł wzrok jego na kościółek i cmentarz co tam pod górką się bielił, a w którym ojcowie jego spali snem wiecznym.

To dawne życie jego wydało mu się jakoś tak cudne i pełne miłości i szczęścia, że zapłakał rzewnie, bo przypomniał sobie historją świętą o Adamie, którego Bóg za grzech z raju wypędził, a on w tej chwili widział raj swego dzieciństwa, który utracił na zawsze.

I zadumał się Sobek o smutnym losie swoim i zdawało mu się, że on już nigdy nie może być szczęśliwym, że grzechy jego większe niżby się mógł spodziewać miłosierdzia bożego. Czuł teraz w całej ohydzie dawne życie swoje i rozpacz żarła serce jego, ale nie widział sposobu ratunku. Djabeł poszepnął mu, żeby sobie życie odebrał i kto wie coby się stało, bo rozpacz jego była wielka, a Wisła płynie blisko, a Wisła głęboka.

Jednakże Bóg czuwał nad nim i nie dał mu w tej chwili skruchy i żalu szczerego upaść na nowo. Bo kiedy on tak siedzi i duma, zaleciał go rzewny głos dziewczęcia, i Sobek usłyszał z pełnej piersi wyśpiewaną pieśń „Kto się w opiekę podda Panu swemu.“

Głos ten wstrząsł nim jak wiatr silny powiędłym liściem, i dawne jakieś wspomnienie odżyło w piersi jego. Chwil kilka stał cicho i słuchał z wlepionemi w tę stronę oczyma, ktoby to śpiewał pieśń oną tak dobrze mu znaną z dzieciństwa, bo zdało się mu, że to głos jego Anioła Stróża, o którym już dawno był zapomniał. Nie długo czekał i zobaczył dziewczynę niosącą uzbierane kwiatki polne do kościoła na ubranie obrazu Najświętszej Panny.

Wszystka krew z serca uderzyła mu do głowy, i łzy gorące puściły się z oczów. Sobek poznał Halkę. Jednym skokiem przyskoczył do niej i już miał się jej rzucić na szyję, gdy ona ze zdziwienia i strachu krzyknęła głośno i zaczęła uciekać.

— Nie uciekaj Halko moja, wszakże to ja Sobek, z którymeś dzieckiem się bawiła. Nie uciekaj, bo jabym już teraz bez ciebie żyć nie mógł, skorom cię znowu ujrzał, i zgubiłbym duszę na wieki.

— Halka zatrzymała się i spojrzawszy nań żałośnie rzekła:

— Więc to ty jesteś ten sam Sobek? Mój Boże, co też to z ciebie to pijaństwo zrobiło, jakżeś się ty zmienił szkaradnie na twarzy. Toć to wszystko musi być prawda co mi wczoraj ludzie o tobie powiadali kiedym z panią przyjechała. Idź-że sobie z Bogiem i zostaw mnie w spokoju, bo ja cię takiego ani znać nie chcę, jakim teraz jesteś.

Chciał Sobek coś mówić, ale słowa stanęły mu kością w gardle, widział że Halka ma słuszność, a że nie mógł się wytłómaczyć z teraźniejszego życia swego, więc zamilkł i spuścił w dół oczy jak winowajca.

W tem ozwał się cichy głos dzwonka zwołującego pobożnych na świętą ofiarę do kościółka wiejskiego. Halka zerwała się czemprędzej, i rzekła:

— Ja ci przebaczam, proś tylko by ci Bóg przebaczył, lecz o mnie zapomnij na zawsze. A nim Sobek zdołał odpowiedzieć, pobiegła w stronę kędy się świecił w słonku blaszany krzyż na wieży kościelnej.

Słowa jej ostatnie dobiły Sobka. Stał chwilę niemy, a to spotkanie wydało mu się jakby spotkanie Anioła Pocieszyciela, który go tylko napomniał i znowu zostawił sobie samemu. Żal jakiś nieopisany ścisnął go za serce, i nie wiedząc sam co czyni, szedł nieprzytomny drogą ku Krakowu i stanął nad brzegiem Wisły. Tu szepnął mu zły duch.

— Już nie ma szczęścia dla ciebie na ziemi, skocz do wody, a wszystko się skończy.

Ale Bóg nie chciał jeszcze zguby jego duszy i dał mu w czas opamiętać się.

— O mój Boże! — zawołał Sobek żałośnie — nie ma już dla mnie spokoju na świecie, ale ufam jeszcze w miłosierdzie boże, że mi się jeszcze droga do żywota wiecznego nie zamknęła. Czas już poprawić się; co mnie w życiu spotka przyjmę pokornie jako karę za grzechy moje, byle Bóg był ze

mną, i po cierpieniach doczesnych dozwolił mi oglądać jasność wiekuistą. To rzekłszy odstąpił Sobek od wody i przeżegnał się — i przemógł w nim Stróż Anioł szatana kusiciela.

— Ale cóż począć teraz; nie wracać mi już do zagrody mojej, bobym nie mógł ze wstydu podnieść oczu na ludzi. Ot, pójdę w świat na wędrówkę i na pracę twardą w pocie czoła. Ruszył tedy dalej drogą ku Krakowu, a kiedy był blisko doleciał go gwar jakiś głośny i wyraźny huk strzałów. Spieszy tedy ciekawy coby to było, i w mgnieniu oka stanął w mieście.

Na rynku krakowskim było pełno narodu, panowie, mieszczanie i wieśniaków z kosami siła wielka; stali pomieszani ze sobą, a pośrodku nich na podwyższeniu stał człowiek jakiś w krakowskiej sukmanie i w czapce krakowskiej, który długo coś mówił do narodu.

Byłto jenerał Kościuszko, i wzywał lud cały do obrony kraju przeciwko Moskalom, którzy dwa razy już nachodzili Polskę i dużo jej krajów zabrali, a teraz resztę zabrać chcieli. Wszystko tedy co żyło przystało do Kościuszki, a Sobek dziękował Bogu, że mu nie dał marnie się zagubić i pozwolił w obronie ojczyzny zmyć hańbę dawnego rozpustnego życia.

Niedługo potem przybyło do Krakowa i wojsko polskie z jenerałem Madalińskim i połączyło się z kosynierami Kościuszki, a za dni kilka gdy przyszło do bitwy pod Racławicami, można było widzieć obok dzielnego wieśniaka Bartosza Głowackiego i naszego Sobka, jak dzielnie kosą zmiatał Moskali i szedł śród huku i kul śmiało na działa nieprzyjacielskie.

Co się dalej z nim działo, trudnoby wszystko opisywać, dość będzie powiedzieć, że życie śród trudów wojennych bardzo mu zasmakowało. W Krakowie jeszcze przed wojną wyspowiadał się szczerze i zaprzestał wszelkiej hulatyki, to też po kilku miesiącach odmienił się i z wejrzenia zupełnie. Twarz obrzękła z pijaństwa wyszlachetniała, i Sobek wyglądał na zupełnie porządnego człowieka.

Dopóki stało Kościuszki wojowali nasi a z nimi i Sobek, i jakoś zawsze Bóg go strzegł w ogniu bojowym. Przyszło nareszcie do bitwy pod Maciejowicami. Kościuszko ranny dostał się do niewoli moskiewskiej i Polska upadła. Sobek do-

stał tam silne pchnięcie w pierś od piki kozackiej i cięcie pałaszem przez czoło i upadł bez zmysłów.

Gdy przyszedł do siebie, zobaczył się w porządnym pokoju i próbował powstać. Jakoż udało mu się to, gdyż już zupełnie był wyleczony i tylko nieco jeszcze osłabły. W tem weszła znajoma mu pani z Łobzowa, prowadząc Halkę za rękę. Zdziwił się Sobek i zakrył oczy dłonią. A pani rzekła do niego:

— Nie zakrywaj oczu Sobku kochany, gdyż poświęceniem twojem okupiłeś dawne winy. Bądź dobrej myśli, a Halka zostanie twoją żoną, za twą teraźniejszą cnotę i za cierpienia twoje dla ojczyzny. Jej to staraniem przyszedłeś do zdrowia, i ona cię tu sprowadziła, gdy cię z pod Maciejowic do Warszawy przywieźli, gdzie teraz mieszkamy. Gdy przyjdziesz zupełnie do siebie, ja sama będę przytomną waszemu połączeniu przed Bogiem.

— Oj niechże wam Bóg zapłaci droga pani i tobie Halko moja za tę słodką nowinę, bo już nie myślałem o szczęściu na ziemi, i Bogu tylko i ojczyźnie całym się oddał. Lecz teraz nie pora mi myśleć o żonie — teraz gdy Bóg mnie zachował, pójdę do ostatka bić się za wolność.

Zapłakała na te słowa Halka i pani jej, a pani rzekła:

— Już po wszystkiem mój bracie, Kościuszko w niewoli. Moskale kraj cały zabrali i znęcają się teraz nad nami, chyba nas Bóg święty z tej biedy wybawić raczy. Powracaj do roli, pracuj i kochaj twą Halkę, a wychowuj dzieci twe ojczyźnie na mścicieli.

Osłupiał Sobek na te słowa i zapłakał też gorzko nad losem ojczyzny i nad naczelnikiem kochanym, a potem rzekł:

— Święta wola boska — niech będzie imię jego błogosławione. Wszak i mnie zrazu cierpieć przyszło, a teraz szczęście do mnie ręce wyciąga. Toć i krainę naszą Bóg kiedyś poratuje.

Niedługo potem połączył ksiądz ręce Halki i Sobka, a Bóg pobłogosławił ich czworgiem ładnych dziatek. W rodzin-

nej wsi Łobzowie osiadłszy żyli szczęśliwie długie lata, a Sobek co roku na Zielone Święta odbywał pielgrzymkę do Kalwarji, podziękować Bogu za cudowne nawrócenie swoje.

**Wincenty Srokacz.**

---

# Poczciwy wieśniak.

---

Niedaleko Sandomierza żył w małej wiosce Witowie 90 letni gospodarz Błażej, do którego często schodzili się sąsiedzi, aby się przysłuchiwać różnym ciekawym rzeczom z dawnych czasów, o których wiele umiał opowiadać. Razu jednego w święto i mnie tam Bóg zaprowadził, właśnie gdy Błażej o którymś z krewniaków swoich mówić zaczął. Ta jego opowieść tak mi się podobała, że umyśliłem ją dla nauki drugich w „Dzwonku“ dać wydrukować.

Otóż prawił Błażej w ten sposób:

Dawno to już, dawno, bo jeszcze za polskich rządów mieszkała tu komorą u wójta biedna wdowa Marta z małym synem, któremu na imię było Piotruś. Marta kochała go bardzo i wychowywała w bojaźni bożej; nauczyła go pacierza i przykazań boskich i prowadziła co niedzielę do kościoła na naukę. Gdy chłopiec podrósł nieco, wziął go wójt za pastuszka, a matka nieustawała i teraz nauczać go i upominać, aby bydełka dobrze pilnował i nikomu nie robił szkody, ani nie krzywdził nikogo, bo za to kiedyś ciężki rachunek zdać trzeba przed panem Bogiem. Piotruś słuchał wszystkiego uważnie i tak się od młodości nauczył być poczciwym, że wójtowie wierzyli mu na słowo i kochali go jakby własne dziecko. Widać z tego, co to mogą rodzicielskie nauki, jeżeli często i z serca są udzielane. Ukochał też Piotruś nadewszystko poczciwą pracę i nigdy nie widziałeś go siedzącego z założonemi rękami, ale zawsze wyszukał sobie coś do roboty i z ciekawości nawet siekierką robić się nauczył. Skoro zaś wyrósł, nie chciał go więcej puścić wójt od siebie, ale zatrzymał w domu za parobka,

spuszczając się śmiało i we wszystkiem na niego. Jak zawsze tak i teraz nie obciążył Piotr niczem sumienia swego i Bóg też najwyższy nagrodził tę jego uczciwość, jak wam to zaraz opowiem.

Razu jednego wysłał go wójt do miasta, ażeby tam różnych rzeczy gospodarskich nakupił. Piotr zwijał się tęgo; mimo to zeszło mu w mieście aż do wieczora. A że się jeszcze gęsty deszczyk puścił, zrobiło się bardzo ciemno, tak że ledwie drogę było widać. Nie zważając na to ruszył Piotr z powrotem do domu. Uszedł już spory kawał drogi, aż tu raptem zawadził nogą o coś twardego, i zaczął w ciemności macać, ciekawy coby to być mogło. Nie długo szukał, podnosi i widzi worek dosyć duży, pełny srebrnych pieniędzy. Trafunek ten ucieszył go zrazu bardzo; jednakże idąc dalej pomyślał sobie:

Idź precz pokuso! co cudze, to nie moje; możeć to jaki biedak tę stratę poniósł, może to cały jego majątek, a on tam płacze gdzieś z dziećmi i żoną. A wszak dobrodziej mówił, że kto zguby znalezionej nie odda, to jakby ją ukradł. O nie być mi nigdy złodziejem! Zaraz pieniądze te oddam właścicielowi. Ale gdzież znajdę prawdziwego właściciela?

Tu się zatrzymał Piotruś, a pomyślawszy chwilkę, powiedział sobie:

Toć na to są jeszcze sposoby, pójdę do księdza plebana, on to ogłosi z ambony, a tak może się przecież właściciel znajdzie.

Jak pomyślał tak zrobił. Ksiądz pochwalił go za tę jego uczciwość i ogłaszał kilka razy rzecz całą w kościele, i w mieście także dowiadywał się o tem; mimo to nikt się jakoś po pieniądze nie zgłaszał. Gdy zaś dwa lata z górą upłynęło, każe ksiądz pleban wołać Piotra do siebie, i rzecze mu:

— Oto dotąd nikt się nie zgłasza, a pieniądze jak leżą tak leżą bez najmniejszego pożytku — proszę cię weź je sobie i kup gdzie dobry kawał gruntu i pracuj uczciwie, snać Bóg cię niemi chciał poratować. Gdyby się zaś później znalazł prawdziwy właściciel, to na tem nic nie straci, bo pieniądze będą w gruncie, który będzie mógł sobie potem odebrać, lub też dorobiwszy się wrócisz mu pieniądze, zostając przy gruncie.

Zgodził się Piotr na tę mowę pobożnego kapłana. Zwołali kilku gospodarzy i odrachowali przy nich pieniądze. Było ich dwa tysiące złotych. Za tę sumę kupił Piotr grunt z domem, parę dobrych koni i kilka sztuk bydła, a zagospodarowawszy się, pojął za poradą matki uczciwą dziewczynę za żonę. Kilka lat szczęśliwego pożycia upłynęło, czworo dziatek hożych uwijało się po domostwie, i wszystko szło im jak najlepiej. Aż tu jednej nocy zapukał ktoś z cicha do okna, a za chwilę wszedł przez drzwi jakiś człek podróżny i pochwaliwszy Pana Boga na wstępie, zaczął tak mówić:

— Mój gospodarzu, niedaleko ztąd zepsuł mi się wóz i dzisiaj nie myśleć mi już o dalszej drodze; proszę was zatem o nocleg dla mnie, dla służącego i koni.

Chętnie przystał Piotr na żądanie jego i sprowadził wóz do stodoły, gospodyni zaś zastawiła chleb, mleko i masło, aby się pan i sługa nieco pokrzepili. Nazajutrz skoro świt wstał Piotr i naprawił wóz co prędzej, tak że podróżny zbudziwszy się i spożywszy zastawione śniadanie, bez straty czasu w dalszą ruszać mógł drogę. Przy śniadaniu zaczęła się poufała rozmowa; podróżny rozpowiadał, że jest kupcem z Kalisza, że wraca właśnie z Sandomierza, gdzie był na jarmarku z towarami, i że dziwnem zrządzeniem bożem już drugi raz w tej samej wsi nieszczęście go spotyka.

— Przed dziesięciu laty — prawił podróżny — kiedym tą samą jechał drogą, przewrócił mi się wóz i zgubiłem worek, w którym było dwa tysiące złotych, które wziąłem za towar. Na to rzekł mu Piotr:

— I nie dowiadywał się pan o tę zgubę?

— I owszem — rzecze tamten — pisałem do przyjaciela, ale żadnej odpowiedzi nie odebrałem; potem pilny interes powołał mnie w daleką drogę, i tak rzecz cała przedawniła się i poszła w zapomnienie.

— Oj, co nie poszła, to nie poszła — odpowie mu uczciwy wieśniak — pieniądze wasze nie przepadły — boć ja je znalazłem. A opowiedziawszy jak sobie z niemi postąpił, mó-

wił dalej: Dom i grunt ten i całe gospodarstwo moje do was panie teraz należy, odbierzcie je sobie i sprzedajcie jako własność swoją.

Zdumiał się kupiec nieznajomy na taką poczciwość chłopka, uścisnął mu rękę i rzekł: Litościwy Bóg dawno już łaską swą wynagrodził mi tę stratę, a rzetelność wasza poczciwy człowiecze tak mnie wzruszyła, że nie mógłbym odbierać wam tej zagrody, nad którą Opatrzność święta snać czuwa — żyj szczęśliwy i poczciw jak dotąd, wychowuj dziatki twe w bojaźni bożej i miłości bliźniego, a ja stokrotnie w sumieniu nagrodzony będę, że małą stratą z mej strony przyczyniłem się do szczęścia poczciwego człowieka.

W tej chwili zajechał wóz; a kupiec pożegnawszy uprzejmie rozczuloną rodzinę odjechał w swą drogę.

Tu skończył Błażej opowiadanie swoje, a gdy widział że wszyscy w cichości słuchali, dodał po chwili:

Ten oto Piotr mili bracia był moim pradziadem, do śmierci wytrwał w pracy i w bogobojności, a że szczerze pracował, toć widzicie po tej chudobie i chałupie mojej, gdzie przecież stare kości odpocząć mogą po pracy.

Choć wszyscy jeszcze dłużej słuchać by go chcieli, podniósł się stary Błażej, bo mu pilno gdzieś było, i wszyscy też ruszyli do domów swoich, ja zaś pomyślałem sobie: Mój Boże! jakże to sprawiedliwe sądy twoje, i jako nigdy uczciwego nie opuszczasz. Ot ten Piotr, posiadł z pomocą Twą znaczną fortunę a nie skalał sumienia swego. Innyby może skrycie w takim razie postąpił i nie przyznał się, że znalazł cudzą własność, ale czyżby sumienie jego pozwoliło mu spokojnie używać dobra cudzego, i czyby mu ono wyszło na dobre? Boć jak świat stary, starą jest ta prawda, że krzywdą ludzką nikt się jeszcze nie zbogacił, z prawdą zaś i uczciwością świat cały zejdziesz, a wszędzie towarzyszyć ci będzie błogosławieństwo boże i przyjaźń ludzka.

*M. C.*

# RADY GOSPODARSKIE.

## Użytki z jałowcu.

Jałowiec toć już zna każdy, ale nie każdy zna jego własności; nie każdy wie, że wszystko u niego, i liście, żywica, jagody, drzewo i korzenie, a nawet i na nim rosnące grzyby służą nam na pożytek. Dla tego pokrótce to wam opiszemy, co wam z niego może być pożyteczne:

1. Listków kolczystych z jałowcu używać można do kadzenia, aby z izby niezdrowe wypędzić powietrze.

2. Naczynia do mleka wypłókują dobre gospodynie wodą warzoną z jałowcem, przez co naczynia utrzymują się w czystości, i masło nabierze dobrego smaku. Dla tego też

3. Z drzewa jałowcowego robią naczynia do nabiału.

4. Ciepły napój, który się dojnym krowom daje, zaprawia się wodą jałowcową, bo od tego krowy lepiej doją.

5. Jagody jałowcowe ususzone i upalone, potem sparzone gorącą wodą i odcedzone, a napój ten używany jako kawa ma własność rozwalniania; — dobre dla tych co cierpią na kamień lub suche bole.

6. Wiórki z korzenia młodego jałowcu, oraz z drzewa ususzonego, sparzone gorącą wodą i odcedzone, a napój używany jako herbata pomaga na słabości piersiowe.

7. Jałowiec wyborny jest także do wędzenia mięsa.

8. Młode wyrostki odcięte służą nam na laski i biczyska.

Oprócz tego każdy zna jałowcowe piwo, które jest smaczne i zdrowe. Dla tylu zalet nie trzeba jałowcu wytępiać, ale przeciwnie trzeba go sadzić na miedzach, a szczególnie w ogrodach jako żywe płoty, które co do gęstości i piękności wszystkie inne przewyższają. Przez to dwa naraz osiągniemy pożytki, będziemy mieli jałowiec i tanie a trwałe płoty.

## Obrywanie kwiecia u ziemniaków.

Zalecają teraz gospodarze obrywać kwiat u ziemniaków i powiadają, że przez to pomnaża się ich plon. Powiadają wprawdzię niektórzy, że obrywanie kwiecia i liści u ziemnia-

ków jest szkodliwem, ale niczem tego nie dowodzą. Co się tyczy obrywania liści, to jest gdy jeszcze są jędrne i nie zaczynają żółknąć, to oczywiście jest szkodliwem, gdyż wszystkie rośliny, a więc i ziemniaki, nie tylko z ziemi za pomocą korzeni ciągną pożywienie, ale i z powietrza za pomocą liści. Więc ten umniejsza sobie zbiór ziemniaków, kto zżyna zielone łodygi lub z nich liście obrywa. Obrywanie jednak kwiecia nie tylko nie jest szkodliwe, ale owszem pożyteczne. Kwiat bowiem aby się rozwinął i wydał owoc, wiele potrzebuje soków z ziemi. Gdy się zatem wcześnie zerwie, już owe soki nie marnują się na owoc, ale obracają na żywność korzeni. Więcej się tedy zawięzuje ziemniaków i większej dochodzą wielkości.

## Sposób odstraszenia ptaków od owocu.

Doświadczenie nauczyło, że opasawszy w kilkunastu miejscach drzewo wiśniowe z owocami i liśćmi grubą nicią błękitnego koloru, odstraszysz tem ptaki, albowiem tego się tak ptaki boją, że ani nie usiędą na takiem drzewie, i ani nie dotkną się owocu. A cóż czy nie łatwy i nie tani sposób?

*Sz. Niedz.*

## Utrwalenie płótna do worków gospodarskich.

Dobry sposób utrwalenia płótna, używanego na worki do zboża, płachty żniwowe i do rzepiu, jest następujący: w kotle miedzianym robi się zaczyn garbarski, z 20 kwart wody i 2 funtów dobrego dębowego garbnika. Ten zaczyn przecedza się w stanie gorącym przez gruby płat na płótno złożone w kufie, zalewa dobrze aby zupełnie było w niej zanurzone, i tak pozostawia się w spokojności przez 24 godzin. Po tym przeciągu czasu wyjmuje się płótno z kufy, płócze w czystej wodzie i rozwiesza aby wyschło. Na każde 8 łokci płótna potrzeba 2 funty dębowej kory. Garbnik przejmuje na wskroś włókno lniane lub konopne, i chroniąc je tak samo od butwienia jak skórę, czyni je mocniejszem.

*Gw. Ciesz.*

# RÓŻNOŚCI.

*Nowe pożary.* Ostatniemi czasy w różnych stronach naszego kraju zniszczył ogień wiele domów, a tysiące ludzi zostało znowu bez chleba i przytułku. Jedne z tych pożarów powstały przez nieostrożność ludzką, a inne podłożone przez złych ludzi, którzy nawet domy boże niszczyć się odważyli.

I tak w połowie maja zgorzał klasztor w Kalwarji pod Przemyślem, sławny odpustami. Ogień podłożył kościelny ze złości do przełożonego, do czego się zaraz sam przyznał.

Na początku przeszłego miesiąca spaliło się znowu miasto Dzików nad Wisłą. Zgorzało tam sto kilkadziesiąt domów i kościół dominikański z cudownym obrazem Najświętszej Panny Dzikowskiej, a około tysiąca ludzi zostało bez dachu. Zaraz też miłosierni ludzie pomyśleli o wsparciu dla tych pogorzelców, i rozpisali po kraju odezwy, aby się każdy czem może do tego przyczynił. Miasto Warszawa, które przeszłego roku tyle nieszczęść doznało i czuje dobrze co to jest niedola ludzka, złożyło się zaraz na pogorzelców Dzikowskich i posłało im pieniądze z takim napisem: Mieszkańcy Warszawy dla braci z Dzikowa.

W ten sam dzień co Kalwarja, zgorzał także stary kościół w Jarosławiu, fundowany przez wojewodę Sandomirskiego Jana Kostkę jeszcze w roku 1570. Około godziny 4-tej z rana nie zostało nic z tej wspaniałej świątyni, jeno okopcone mury i gruzy! Ogień jak powiadają był podłożony przez złego człowieka.

Piszą także w gazetach, że w dzień świętego Jana Chrzciciela, to jest 24 Czerwca zgorzało w Chorostkowie 34 domy, a niedługo potem bo 1 lipca znowu 27 domów żydowskich i dwie bóżnice.

A kiedy te wszystkie nieszczęścia nie mogły być odwrócone, choć się wszędzie ludzie całą siłą do ratowania rzucili, za to we wsi Wietrzychowice ocalał kościół drewniany prawie cudem boskim. Bo kiedy rano pleban tamtejszy wszedł do kościoła, ujrzał boczny ołtarz z obrazem Pana Jezusa Miłosiernego u spodu i na około opalony, a obraz sam nietknięty i ogień już ugaszony. Widać Opatrzność Boska czuwała nad tym kościółkiem, który cały drewniany inaczej byłby niechybnie zgorzał. Tak to Pan Bóg odwraca czasem cudowną siłą nieszczęścia od ludzi, a czasem też spuszcza na nich krzyżyki, aby ich doświadczyć. Otóż parafja Wietrzychowicka zasłużyła sobie na tak wielkie miłosierdzie Boże i na opiekę Jego świętą, bo jak się dowiadujemy, pozakładali tam sobie ludzie szkółki po wsiach za własne pieniądze i wychowują dzieci swoje w nauce i bojaźni Bożej, i sami żyją cnotliwie i po chrześcijańsku; przyczynili się też wiele dobrowolnemi ofiarami do założenia Czytelni przy kościele, gdzie już dużo pożytecznych książek mają dla wygody i nauki wszystkich parafjan.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.